

STASIA

JOLANTA WILKOŃSKA

W latach 50-tych XX wieku mieszkalam z Mamą w Warszawie na „Dzikim Zachodzie”. Tak nazywano wówczas część centrum miasta znajdującą się za Pałacem Kultury i Nauki im. Józefa Stalina, który właśnie zaczęto budować. Tu wiele domów było zrujnowanych, wiele było pustych placów po ich istnieniu, lub jeszcze zalegały gruzy. To pozostałość po II wojnie światowej.

I właśnie do takiego - w połowie istniejącego budynku - wprowadziłyśmy się. Nasze „przydziałowe mieszkanie” na ulicy Siennej składało się z jednego pokoju z widokiem na podwórko i trochę ponad gruzami na ulicę Żelazną. Dawniej posesja ta była typową dwupiętrową „czynszówką”, z podwórkiem „studnią”. W czasie niemieckich nalotów boczna część domu zamieniła się w stertę gruzu do wysokości pierwszego piętra, czyli prawie do naszych okien. Aż dziw, że reszta się zachowała, bo dom był stary, ściany obdrapane, schody drewniane, skrzypiące, prymitywny sanitariat, tylko, że nie na podwórku, a na piętrze we wspólnym dla kilku lokatorów korytarzyku. Do naszego mieszkania na pierwszym piętrze wchodziło się przez taki właśnie korytarzyk, a opisuję tak dokładnie, bo potem nawiązuję do tego, co wspominam.

Nad nami mieszkała „Stasia”: nie młoda-nie stara... prostytutka, jak mówili lokatorzy. Figurkę miała drobnej zgrabnej dziewczyny, a twarz staruszki. Ubierała się dziwacznie, bardzo kolorowo, np. czerwone bufiaste spodnie i zielona bluzka i niezmiennie czapka z daszkiem, też jaskrawego koloru.

Stasia nie była normalna, bo z rozpaczyny pomieszało jej się w głowie, gdy zginęli jej najbliżsi w gruzach tegoż domu – mąż i mała córeczka. Wyszła na chwilę z domu, a w tym czasie rozpoczął się nalot i od bomby zawaliła się część budynku! I Stasia nie miała już ani gdzie, ani do kogo wrócić... Początkowo lokatorzy ją przygarnęli, potem zwolnił się pokój na poddaszu i tak została blisko swoich tu pogrzebanych.

Zanim to się stało, nie pracowała, mąż, nauczyciel, utrzymywał rodzinę, a ona zajmowała się domem i dzieckiem. Żadnego fachu nie знаła, dlatego też i pracy nie mogła znaleźć. Tak więc zajęła się pokątnym handlem wódką i ... sobą.

Przychodził do niej chyba najgorszy element - brudni, pijani chłopcy - o każdej porze dnia i nocy! Gdyby tak było, że tylko do niej - to jej sprawa, ale oni często mylili piętra i dobijali się do nas, albo zasypiali pod naszymi drzwiami! Ten nasz maleńki przedsiönek z ubikacją był dla nich zacisznym miejscem „noclegowym”! Niestety nie było drzwi odgradzających go od klatki

schodowej, a Stasia mieszkała dokładnie nad nami, więc pomyłki takie zdarzały się dość często!

Bywało też, że jej „klienci” leżeli na schodach i gdy nie było światła, które często się psuło, to w ciemnościach idąc po schodach nadeptywało się na kogoś – brr, to było wręcz przerażające!

Nie pomogły interwencje lokatorów czy to w administracji domu, czy też na milicji; a jeszcze gorzej się działo, gdy Stasia była w areszcie, bo wtedy amatorzy wódki awanturowali się na całej klatce schodowej.

Sama ona była cicha, łagodna, nie wulgarna, trzeźwa, z lekkim uśmiechem na twarzy, jakby przepraszająca, przemykała się przez podwórko niby cień. Może dlatego litowali się nad nią lokatorzy i znosili te okropności, ale unikali z nią kontaktów.

Jedynie do Mamy miała ona śmiałość odzywać się, a to z przyczyny przypadkowej ich rozmowy. Otóż Stasia miała zwyczaj wróżenia w dziwny sposób: małą siekierką stukała w framugę swoich drzwi wejściowych, w związku z czym była ona cała ponacinana w wąziutkie szparki, jakby korniki toczyły drewno. Nie wiem, na czym ta wróżba polegała, ale robiła to o wczesnym świecie, czym nas naturalnie budziła. Jakiś czas znosiłyśmy jej stukanie, ale wreszcie któregoś dnia Mama poszła do niej i w delikatny sposób poprosiła, żeby – jeśli musi to robić, to aby trochę później stukała, bo dziecko, czyli ja, jeszcze śpię i muszę się wyspać przed szkołą... tak więc może dopiero po 8 rano rozpocznie swoją wróżbę? I o dziwo! Delikatne potraktowanie Stasi bardziej poskutkowało niżby można się było spodziewać! Wreszcie mogłyśmy spać w ciszy. A w czasie przypadkowych spotkań ze Stasią Mama rozmawiała z nią, zaś ona całkiem rozumnie wypowiadała się swoim cichym głosem, twarz jej rozjaśniała się i oczy nabierały blasku. Mama współczując jej, zaproponowała pomoc finansową, ale Stasia odmówiła.

Po latach, gdy już nie mieszkalam tam, bo w międzyczasie dom rozebrano, a lokatorom dano przydziały do nowych mieszkań, spotkałam Stasię w autobusie. Nie poznałam jej, była „normalnie ubrana”, bez tego dziwaczного kolorowego stroju, tylko czapkę z daszkiem miała na głowie, po dawnemu, ale też nie jaskrawą, jak bywało. Stasia mnie poznała! Naturalnie przywitałam się z nią i zaczęłyśmy rozmawiać. Pierwsze pytanie jej było o moją Mamę, a gdy dowiedziała się, że już nie żyje – posmutniała i powiedziała, że gdyby mogła, to by zapłakała, ale wszystkie łzy już dawno wypłakała ...

Byłam tym do łez wzruszona. Stasia po wyprowadzeniu się z Siennej dostała kawalerkę w nowym budownictwie na terenie nowej dzielnicy, a tam społecznie zaopiekowano się nią,

postarano o wsparcie finansowe, na tyle, że nie musiała pokątnie handlować, a to co dostawała, to jej wystarczało na skromne potrzeby. Wreszcie odżyła w normalnych warunkach, pojaśniała jej twarzyczka, była czysto i skromnie ubrana, nie robiła wrażenia osoby niespełna rozumu.

Może i pod tym względem zmiana warunków życia i przyjazna atmosfera otoczenia pomogła jej wrócić do normalności...